Jak
z drzew
Jan

Salberg

liscie
strącone
o
Lada

JAK LIŚCIE
Z DRZEW
STRACONE...

Nakładem Księgarni Gubrynowicza i Schmidta

wyszły następujące wydawnictwa:

	K.
Aktor na urlopie, obrazek humorystyczno-satyryczny w 2 aktach. Poznań 1860	2·—
Asnyk Adam. Bracia Lerche, komedya w 3 aktach. Kraków 1888	1·50
Batożek, komedya w 2 aktach (przez Ap. Korzeniowskiego), ułożona z prawdziwego wydarzenia. Lwów	—·50
Buława Ernest. (Wł. hr. Tarnowski). Utwory dramatyczne. 2 tomy. Lwów 1874	6·60
I. Karlińscy. Tragedya w 5 odsłonach, poprzedzona uwerturą. (Uwertura wykonana w Paryżu i we Włoszech)	3·—
II. Joanna Grey. Obraz tragiczny z XVI. w. w 5 odsłonach, poprzedzony uwerturą . . .	3·60
Doczi Ludwik. Ostatnia miłość, dramat w 5 aktach wierszem, przełożył Franciszek Konarski. Lwów	2·40
Dwie Zosie. Obrazek z czasów spółczesnych w 3 aktach przez W. W. Lwów	1·50
Kloss Karol. Gajus Gracchus trybum, dramat w 4 aktach z prologiem, oryginalnie napisany. Lwów 1876	3·20
Koźmian St. Lisistrata, czyli wojna i pokój, komedya w 4-rech aktach prozą, podług Aristofanesa. Lwów 1896	3·60
Laudynowa Stefania. Zmarnowane życie, dramat w 5-ciu aktach. Lwów 1895	2·40
Małecki Antoni. Wieniec grochowy, czyli Mazury w krakowskiem, komedya w 4-rech aktach. Edycya druga przerobiona przez autora. Lwów 1897 .	2·60
Mora Julian, z Poradowa. Przeor Paulinów, dramat historyczny z XVII. wieku. Lwów . .	2·80
Rostand Edmund. Cyrano de Bergerac, romantyczna komedya w 5-ciu aktach, w przekładzie Jana Kasprowicza. Lwów 1899	1·—
Schmitt Miecz. Biała gołąbka, dramat w 4-rech aktach. Lwów 1881	1·20

JAK LIŚCIE Z DRZEW STRĄCONE...

PASTEL SCENICZNY
W I. AKCIE o o PRZEZ
JANA ŁADĘ

LWÓW
O O O O O O O NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA O O O O
1904

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pl. Bernardyński 7,
pod zarządem T. Wiedenia.

PRZYJACIOŁOM,
WYKONAWCOM,
TOWARZYSZOM PIÓRA,

KTÓRZY RADĄ, POPARCIEM, TALENTEM POMOGLI MU MYŚL SWĄ WCIELIĆ W DZIEŁO SZTUKI I PRZELAĆ W SERCA

SERCEM WIERNIE
ODDANEM I UMIEJĄCEM PAMIĘTAĆ

AUTOR.

29. LISTOPADA 1903

OSOBY:

WŁADYSŁAW ZGLEŃSKI p. Mossocy

MARSZAŁEK p. Mandybur

ADAM, jego synowiec p. Pietrals…

WANDA, jego córka pna Mossocy

OTTYLIA pna Żurakowska

JAN, służący.

2 lipca 1904.

Scena przedstawia ogród wiejski. W głębi dwór parterowy z werandą i otwartemi parapetowemi drzwiami. Po lewej stronie wśród drzew ławeczka i parę ogrodowych krzeseł, bliżej werandy stolik, na nim taca z karafką wody i szklankami.

Jesień. Liście zżółkłe zaścielają ziemię i spadają z drzew przez cały czas gry.

Rzecz dzieje się na Ukrainie w domu Marszałka przed ćwierć wiekiem.

(Ustępy między nawiasami [ ] mogą być opuszczone na scenie).

SCENA I.

WANDA I OTTYLIA.

(Wchodzą w ożywionej rozmowie przez werandę do ogrodu).

WANDA.

Więc z nim mówiłaś?

OTTYLIA.

Jak z tobą mówię. Dziś, — jutro tu będzie.

WANDA.

Zmienił się? Bardzo?

OTTYLIA.

Posiwiał i zeszczuplał, a rysy mu stwardniały, jakby wykute z bronzu. Oko świeci, jak dawniej, ale brak już dawnego uśmiechu. Cóż dziwnego? Nietylko uśmiechać się — mówić prawie odwykł.

WANDA.

Biedny, biedny... kochany!

OTTYLIA.

Wychodzę z kościoła, a wtem we drzwiach dopędza mnie Kapuścińska ze swoją nieśmiertelną atłasową peleryną... „Widziałaś Zgleńskiego?“ woła... — „Jakiego Zgleńskiego?“ „Jakiegoż, jak nie Władysława!... Wrócił przedwczoraj do swojego Horyńca, a dziś zamówił żałobne nabożeństwo“... Słucham — i w głowie mi się kręci. Zgleński! Tutaj! A myśmy myślały, że on gdzieś między Obią a Irtyszem!

WANDA.

W ostatnim liście donosił mi o powrocie, ale nie przypuszczałam, że to będzie tak prędko...

OTTYLIA.

— A ty zawsze kryjesz się przedemną z tem, co w twych listach najciekawsze! Gdy chodzi o drobiazg, anegdotkę, opis, to czytasz, a gdy jest coś ważnego, to zaraz sekret. Tak i teraz i dlatego, tak to mnie zaskoczyło! Stoję więc, jak nieboszczka Lotowa, aż tu z cmentarza nadchodzi — kto? On sam.

WANDA.

Poznał cię?

OTTYLIA.

Odrazu. Myślałam, że się rozpłaczę. Ja bo zmieniłam się w fontannę. Po-

myśl tylko — dwanaście lat!... Żegnałyśmy go młodzieńcem, a teraz...

WANDA.

Wtedy Marya była z nami jeszcze...

OTTYLIA.

Wracał z jej grobu... Lotem ptaka, — powiada, chciałbym być u was, zobaczyć miejsca, w których lepsza część duszy mojej została!

WANDA.

A czy...

OTTYLIA.

Czy co?...

WANDA.

Czy... nic więcej nie mówił?

OTTYLIA.

Pytał o ciebie... Co tam porabia — mówi, — moja mała korespondentka? — To był jedyny promień słońca dla mnie przez tyle lat. Wiesz?... On zawsze wyobraża cię sobie w krótkiej sukience. Toż się zdziwi!

WANDA.

Ja go już od dawna widziałam w duszy takim, jakim musi być teraz.

OTTYLIA.

Bo go nie pamiętasz. Takiem dzieckiem byłaś wtedy. I on zresztą nie uważał na ciebie, patrząc w oczy Maryi.

WANDA.

On może mnie nie pamiętać, ale ja... Widzę go jak dziś, kiedy wyjeżdżał, z pieśnią na ustach, z burką rozwianą nad siodłem, z piorunem w oczach. Marya zalewała się łzami, mnie żal brał stracić go z oczu na chwilę — więc wstrzymywałam łzy.

OTTYLIA.

Zuch z ciebie był zawsze, moja Wandziu!

WANDA.

Ale potem myślałam o nim długo, ciągle. Z początku stał przedemną taki, jak wtedy, gdy odjeżdżał; potem, gdy zaczęłam do niego pisać zamiast Maryi, zmienił się i już go nigdy nie widziałam młodym... Świecił mi w duszy posępny a promienny, jak północne zorze.

OTTYLIA.

Pamiętam: nazywałaś go Anhellim.

WANDA.

Ale Anhellim starszym, i silnym, i niedającym się ugiąć cierpieniu...

OTTYLIA.

Aj, ty moja marzycielko!... Co też na to powiedziałby pan Adam?

WANDA.

Adaś?... A cóż jemu do tego!

OTTYLIA.

No, przecie jest twoim narzeczonym...

WANDA.

Ależ choćby nawet był moim mężem! Nie wiem zresztą doprawdy, jak możesz mieszać Adasia do rozmowy o panu Władysławie! To zupełnie tak, jakbyś ulubione Adasiowe buraki pomięszała z mojemi kwiatami!

OTTYLIA.

Hm, hm... Wiesz, Wandziu, ty bo jesteś strasznie egzaltowana.

WANDA

Ja?

OTTYLIA.

A tego Adasia zanadto źle traktujesz. To taki poczciwy chłopiec!

WANDA.

I poczciwy, i porządny, i czerwony, i zawołany gospodarz, i agronomię w Halli skończył ze złotym medalem, i będzie kiedyś chlubą i podporą powiatu! Znam całą litanię na pamięć! I ty, i ojciec, i wszystkie ciocie, i babunie powtarzacie mi ją zbyt często.

OTTYLIA.

Czy może nie mamy racyi?

WANDA.

Ależ macie, macie, nie jedną, ale sto racyi!

OTTYLIA.

Więc...

WANDA.

Więc cenię Adasia, szanuję, uważam sobie za zaszczyt być jego narzeczoną, pod warunkiem jednak, aby mnie jak najmniej nim nudzono i aby mi nie właził w drogę, gdy wobec pana Władysława spełniam ostatnią wolę biednej Maryi!

OTTYLIA.

Tak — to była ostatnia jej myśl na tej ziemi...

WANDA.

Chcesz?... (*zarzucając Ottylii ręce dokoła szyi*). Nie mówmy już więcej nic o... tym twoim protegowanym... Ani słowa!... Dobrze?...

OTTYLIA.

Ależ on nie jest wcale moim protegowanym...

WANDA.

Ani słowa, prawda? Pomyśl tylko: w takim dniu! Tyle lat marzyłam o nim, a dziś... (*Wstaje i przechadza się w zamyśleniu. — Chwila milczenia*).

Dziś zdaje mi się, że nadszedł zbyt prędko. Sądziłam, że kiedyś dopiero, kiedy oboje będziemy już starzy... (*po chwili*). A jednak każdy dzień dłużej tam, to był dzień męki!... On tak bardzo tęsknił!... Patrz: oto ostatni jego list!... Nie miałam odwagi czytać

ci go: zbyt rwał duszę — teraz, gdy wraca... Chcesz?!

OTYLIA.

Czy możesz pytać!

WANDA.

(czyta)

„Dnie już dłuższe. Co rano wychodzę nad Irtysz patrzeć, czy nie zaczynają pękać lody. — Tajga śpi jeszcze, ale na stepie stoją wody i mchy zielenieją nad brzegiem. Biedna ta zieleń sybirska — taka nikła i smętna, a trwa tylko krótką chwilę... Ale już się robi cieplej i wczoraj po raz pierwszy widziałem ptactwo, lecące nad rzeką. Z zachodu leciało naszym wygnańczym szlakiem. Czy uwierzysz, dziecinko?... Miałem wrażenie, że to gromadka przyjaciół! Tunguz, u którego mieszkam, wyniósł strzelbę z chaty i przymierzył się do nich: odepchnąłem go i strzał w bok poszedł. Zdziwił się sybirak i pomyślał pewnie, żem zwaryował. A ja biegłem oczyma za ptakami, mówiąc w duszy: Lećcie jak najdalej, cieszcie swym widokiem inne jeszcze serca osamotnione i smutne! Możeście odpoczywały w drodze gdzieś na naszej łące między Bohem a Rosią, może jakieś chłopskie dziecko przestało grać na fujarce, słuchając waszego świergotu... Lećcie zdrowe, a gdy będziecie wracać, wracajcie tą samą drogą!“.

Widzisz, Wandziu jaki to stary dzieciak ze mnie! Boć te ptaki leciały pewnie z Indyi, a nie z Polski. Ale cóż chcesz? W tej pustce i ciszy wyobraźnia

szuka pokarmu... I tyle też mego, co pomarzę o was drogich, o tych, co odeszli już odemnie i nie wrócą, i o tych, co zostali... daleko... (*Chwila milczenia*).

[Dziś rano wyszedłem ze strzelbą w las. Słyszę — śnieg chrupie i gałęzie szeleszczą — czy niedźwiedź? Nie — to brodiaga skradał się jak wilk, chcąc mnie wyminąć... Wyjąłem z torby chleb — i dałem biedakowi. Dwa dni nie miał nic w ustach... rozgadał się, jedząc. Nie pytałem, skąd jest, bo na to by nie odpowiedział, ale z rozmowy i akcentu domyślałem się, że pochodzi gdzieś od nas, z przed Dniepru, i chciałby przedostać się ku swoim. — „Ależ jak cię po drodze nie schwycą, to już pewnie w domu poznają i złapią?... „To i cóż! — Byle raz spojrzeć na mój kąt, a potem niech już katorga i choćby śmierć!“ Musiał to być zbrodniarz, na rękach świeciły mu blizny od kajdan, a jednak uścisnąłem go jak brata“.

Był mu bratem, bo cierpiał i tęsknił jak on] (*składa list i nachyla się do Ottylii, która słuchała z twarzą ukrytą w dłoni*).

Płaczesz? a widzisz! I godzi się to mówić przy tem o — Adasiu?...

(*Chwila milczenia Słychać turkot*).

OTTYLIA

(*podchodząc do domu*).

Ktoś przyjechał!

WANDA

(*porywając się*).

On!

OTYLIA

(*z głębi*).

Pan Adam!

WANDA
(*siadając ciężko z wyrazem zniechęcenia*).

A!...

SCENA II.

(*przez chwilę słychać w głębi gwar, potem wchodzą*).

MARSZAŁEK, ADAM, *po chwili* OTTYLIA.

MARSZAŁEK.

No, przyprowadzam ci gościa, a o wielkiej nowinie musiała ci już mówić panna Ottylia.

WANDA.

(*wita się w milczeniu z Adamem, który całuje jej rękę nieśmiało*).

MARSZAŁEK
(*do Adama*).

Wyobraź sobie, Zgleński wrócił z Sybiru!

ADAM.

Zgleński?... Narzeczony nieboszczki Maryi?

MARSZAŁEK.

A tak, tak... biednej mojej córki.

ADAM.

Słyszałem, że korespondował z Wandzią?...

MARSZAŁEK.

Pewnie, że korespondował. Zaczęło się to podczas choroby biedaczki Maryi, która wiesz, że miała jechać do narzeczonego, ale Bóg to inaczej obrócił. Kiedy już nie mogła pisywać sama, zastąpiła ją Wandzia, ot — tycia jeszcze. A po śmierci tamtej, ona jedna pocieszała zrozpaczonego.

ADAM.

(*z uczuciem*).

Jakaś ty dobra, Wańdziu!

(*Zwracając się do Marszałka*).

Ale proszę stryja — jakże będzie z temi burakami?... Nie chcą mi ich przyjmować wedle mojej wagi, choć głową mur tłucz! Jak stryj radzi?

MARSZAŁEK.

Poskarż się dyrektorowi. To najprostsza droga.

ADAM.

A mam takie śliczne tego roku, jak nigdy. Chodziłem koło nich, przepłacałem robotnika, żeby tylko mieć najpiękniejszy zbiór na dziesięć mil wokoło, a teraz te szykany! Już mi nie tyle chodzi o pieniądze...

WANDA.

Ale o honor, prawda?

ADAM.

A tak, tak, oczywiście! Ty mnie rozumiesz, Wandziu. Te buraki to moja chluba. Wiesz, że na wystawie rolniczej zapewniają mi co najmniej srebrny medal.

WANDA.

Należy ci się złoty. Oddałeś się im cały przecie...

ADAM.

A tak, prawda; oddałem się. Wstaję o czwartej, cały dzień z konia nie złażę, a po kolacyi ślęczę jeszcze nad dziennymi rachunkami. Ledwie w niedzielę mam czas zaglądnąć do gazety, a książki, to już sam nie pamiętam, odkąd nie miałem w ręku.

WANDA.

I ja nie pamiętam.

ADAM.

Bo zresztą — co mi teraz po książkach? Książkami nie uratuję tego kawałka ziemi, który przecie muszę zachować...

MARSZAŁEK.

Jużeś go wywalczył, mój dzielny chłopcze. Kiedyś tu wrócił z zagranicy przed pięciu laty, sam nie miałem nadziei. Myślałem: nie wydołasz, jak tylu innych. Ale ty miałeś twardą dłoń — i wytrwałeś!... Teraz, gdyś spłacił

tyle ojcowskich długów i tak podniosłeś wartość majątku, jestem o ciebie spokojny.

ADAM.

Daleko jeszcze do końca, zwłaszcza jeśli stracę na burakach. A przytem, wie stryj, że i gorzelnia poprostu spać mi nie daje. Tyle liczyłem na tę setkę wołów, myślałem: wykarmię przez zimę i grubo zarobię, sprzedając. Tymczasem i to nie. Zima minęła, lato minęło, a one wciąż chude i chude.

MARSZAŁEK.

Czy myślisz, że u mnie lepiej? Ot, jeden kłopot i zmartwienie z całem tem gospodarstwem!...

OTTYLIA. (wchodzi)

Zwłaszcza gdy nie ma gospodyni.

ADAM.

Oj, to, to! Bez gospodyni nie sposób ładu utrzymać w domu. I ze służbą źle, i całe kobiece gospodarstwo na nic. A odemnie tak blizko do miasta! Sąsiadka moja, stara Wojdyłłowa, do dwóch tysięcy bierze rocznie za swoje produkty gospodarskie, choć musi je wozić dwa razy dalej.

WANDA.

Boję się, mój Adasiu, żebym ci nie zrobiła zawodu. Nie mam wcale powołania być panią Wojdyłłową.

MARSZAŁEK.

No, zapewne, że Wojdyłłową — nie, z jej juchtowymi butami i wysokim

czepcem, ale za to Adasiową? Co? Do tego miałabyś powołanie?

WANDA.

Nie! (*wychodzi*).

SCENA III.

CIŻ *prócz* WANDY.

MARSZAŁEK (*do Ottylii*).

Co jej się stało?

OTTYLIA.

Ej, nic. Nerwy! Pewnie ta wiadomość o przyjeździe Zgleńskiego...

MARSZAŁEK.

Zgleńskiego? Cóż znowu?... Nie znała go prawie, chyba tych parę listów...

OTTYLIA.

No, parę, parę! Od ośmiu lat nie było tygodnia...

MARSZAŁEK.

Ale cóż ma wspólnego... I za cóż ma cierpieć Adaś?...

ADAM.

O, o! przecież mojej Wandzi wolno być czasem w złym humorze! Żeby stryj wiedział, ile razy mnie samemu to się zdarza! I co ja wtedy nagadam nietylko parobkom, ale i ekonomom!...

MARSZAŁEK
(*niezadowolony*).

No, to znowu co innego.

OTTYLIA.

Pan bo już doprawdy zawiele o tych swoich parobkach i burakach... Czy to temat do rozmowy przy narzeczonej?

ADAM.

A o czemże będę mówił, proszę pani?... przecie nie o poezyi!... Dość ze mnie jeśli nie śpię, kiedy mi czyta swojego Słowackiego! A przytem burak — to chleb, więcej — to ziemia, to warunek utrzymania się przy ojczystym kącie! A czy to nie ważniejsze od poezyi?

OTTYLIA.

Straszny prozaik z pana, a Wandzia moja, to ptaszek, co lubi bujać ponad ziemią i patrzeć w słońce.

ADAM.

Ależ i ptaszek, nabujawszy się w słońcu, wraca na ziemię i szuka ziarna.

OTTYLIA.

Nie samym tylko chlebem żyje człowiek.

MARSZAŁEK.

Oj, to, to! Nie samym tylko chlebem, ale i masłem, i kiełbasą, i wódką także, zwłaszcza przed obiadem... Bójcie się Boga!... Toż to dwunasta dawno

minęła! Hora canonica a ja bez wódki, a Adaś z drogi!

OTTYLIA.

O, przepraszam, ale tak dziś jestem roztargniona! Przygotowałam wszystko na kredensie i zapomniałam panom podać! (*wychodzi*).

MARSZAŁEK

(*zwrócony za nią*).

Ani chybi, tylko to spotkanie ze Zgleńskim musiało pani głowę zawrócić

OTTYLIA.

(*wraca, niosąc tacę z wódką i przekąskami, którą stawia na stoliku obok karafki i szklanek*).

Pewnie... pewnie... (*na str.*). Oj, gdybyż tylko mnie!

MARSZAŁEK

(*nalewa kieliszek i przypatruje się pod swiatło*).

Złoto, istne złoto! No, w ręce twoje!

ADAM.

Dziękuję.

MARSZAŁEK.

Nie? Toś z przeproszeniem głupi.

ADAM

(*śmiejąc się*).

Dawno wiem o tem, a Wandzia wie jeszcze lepiej odemnie.

MARSZAŁEK.

Et, Wańdzia, — co tam Wańdzia! Niech ona Bogu dziękuje... (*rusza ramionami i mruczy pod nosem, potem głośno do Adama*). Cóż? idziesz?...

ADAM.

W tej chwili, stryjaszku, ale mam przedtem maleńki interes do panny Ottylii.

MARSZAŁEK.

Sekret, co?

ADAM.

Nie, ale...

MARSZAŁEK.

Ale przecie sekret... Ej ci młodzi! Nie dość ci Wandzi: jeszcze pannę Ottylię chcesz mi bałamucić! A dla mnie kto zostanie?... No, no, gruchajcież sobie, a ja pójdę Wańdzi poszukać. Może ją udobrucham (*wychodzi*).

SCENA IV.

OTTYLIA — ADAM.

ADAM.

Chciałem panią prosić, bardzo prosić...

OTTYLIA.

Chodzi o Wańdzię, prawda?

ADAM.

Prawda. Stryjowi nie mogłem oczywiście mówić; on to zresztą całkiem inaczejby zrozumiał, ale pani...

OTTYLIA.

Tak, — ja pana rozumiem...

ADAM.

Bo widzi pani, między nami jest coś. Jakiś mur, i ja czuję, że ten mur rośnie. Z początku zdawało mi się, że to minie. Sam pokochałem Wańdzię od razu po powrocie tak gorąco! Myślałem, że to wystarczy. Nie wystarczyło. Im bardziej starałem się zdobyć jej serce, tem dalej ono uciekało odemnie. Może i nie dziw. Cóż — prosty chłopak ze mnie, po obłokach latać nie potrafię, umiem tylko kochać i pracować... I to ją pewnie zraża do mnie, że zawiele mówię o tej pracy, bo mi na sercu leży i na myśl wciąż wraca, bo to przyszłość nie tylko moja, ale kraju całego...

OTTYLIA.

Ona nie poznała się dotąd ani na pracy pańskiej, ani na panu, panie Adamie.

ADAM.

Ej, na czem tam jest się poznawać!... Ot, poprostu ona stoi o całą przepaść wyżej ponadtem wszystkiem. Taka istota cała z mgły i tęczy! Zupełnie tak, jak w tej poezyi czy dramacie, wie pani, gdzie to wypływa z jeziora podobna królowa?... Tylko tam ona kocha się w parobku...

OTTYLIA

(*z uśmiechem*).

Goplana?

ADAM.

To, to, Goplana. Otóż czemże ja jestem wobec takiej istoty?

OTTYLIA.

No, pewnie, że nie Grabcem.

ADAM.

Oj, właśnie, że czemś podobnem! Ona cała jest marzeniem, entuzyazmem, poezyą, a ja przy moich maszynach i parobkach sam staję się parobkiem i maszyną.

OTTYLIA.

To — nie, — ale istotnie bywało tego zawiele.

ADAM.

Bo to — byt, bo to — powinność. Ale nie dla niej, wiem, i widzę to od dawna. Cóż zrobię jednak? Gdybym mógł dać jej krew z pod serca, dałbym tak chętnie, byle najlżejszy cierń usunąć z jej drogi. Ale stać się innym, niż mnie Bóg stworzył — nie sposób przecie. A wobec tego, co pani myśli i co mi pani poradzi?... Czy wytrwać, czy usunąć się, żeby jej, biedaczce kochanej, świata sobą nie zagradzać?

OTTYLIA

(*patrzy na niego przez chwilę w milczeniu*).

Co ja myślę?... Myślę, żem winna i bardzo winna, bom nie umiała za-

wczasu podciąć skrzydeł tej dziewczynie i sprowadzić ją na ziemię. I siedzi sobie za parawanem z poezyi i książek, i świata za nim nie widzi. A w dodatku teraz...

ADAM.

Teraz? Co pani przez to rozumie?

OTTYLIA.

Ja?... nic. Sam pan zresztą zobaczy.

ADAM

(z wybuchem).

Zgleński?!

OTTYLIA

(patrzy na niego przez chwilę i rusza lekko ramionami, potem oddala się w głąb).

ADAM

(idąc za nią).

Powiedz pani — czy tak?

OTTYLIA.

Być może. *(wychodzi, za nią Adam).*

Władysław wchodzi

SCENA V.

(Scena pozostaje przez chwilę pusta, potem od ogrodu pokazuje się Jan, a za nim zwolna nadchodzi Władysław, rozglądając się dokoła).

JAN

(zatrzymując się i patrząc z rozrzewnieniem na Władysława).

Tędy, proszę pana. O mój Boże! Czy to ja mogłem się spodziewać, że doczekam się widzieć pana z powrotem.

WŁADYSŁAW.

Posiwieliśmy, zgarbiliśmy się, mój stary! Tyle czasu — nie żart! Że to mnie jeszcze poznałeś?

JAN.

O mój Jezu najsłodszy! Jabym pana nie miał poznać, com małego Władzia na ręku nosił! Tylko — żem już nie spodziewał się doczekać... Toż będzie państwu radość, gdy oznajmię. (*idzie zwolna w głąb, zatrzymując się i oglądając co chwila*).

WŁADYSŁAW

(*przechadzając się w zamyśleniu*).

Wszystko tak jak było, tylko drzewa rozrosły się. Nie dziw: tyle lat... tyle lat... Wtedy wiosna była, teraz kwiatów brak, już i liście opadają. I słońce zdaje się, świeci nie tak, jak dawniej. (*Pauza*). Jesień, jesień! (*siada w zamyśleniu opierając czoło na dłoni*).

SCENA VI.

WŁADYSŁAW — WANDA.

(*Wolnym krokiem schodzi z werandy i zbliża się do Władysława, nie widząc go, — Władysław podnosi głowę i przypatruje się jej z rosnącem zdumieniem*).

WŁADYSŁAW

(*zrywając się i wyciągając ręce*). Marya!

WANDA.

A! On!

WŁADYSŁAW.

Na Boga! Co to znaczy?

WANDA

(podbiega, podaje mu obie ręce).

Pan Władysław!

WŁADYSŁAW.

Ja... ale...

WANDA.

I nie poznaje pan swojej starej przyjaciołki?

WŁADYSŁAW.

Jakto? — Pani?... Pani byłabyś Wandzią?

WANDA.

A któż? Pan może myślał, że ja jeszcze w krótkiej sukience!

WŁADYSŁAW.

Prawda! Tyle lat...

WANDA.

Tyle lat, a przytem bardzo złych i ciężkich lat. To liczy się podwójnie.

WŁADYSŁAW.

Jak wojna... Ja też z niej wracam inwalidem.

WANDA.

Dla mnie skróciła dzieciństwo.

WŁADYSŁAW.

Tak: z wiosennego pączka stałaś się pani kwiatem. Taką była Marya, gdym stąd odchodził...

WANDA.

Wróciłeś pan wreszcie do niej... i do nas.

WŁADYSŁAW.

Do jej grobu i do własnego gniazda — do pustego, zimnego gniazda!

WANDA.

Dziś jest takiem, ale jutro...

WŁADYSŁAW.

Ach, nie mów pani o jutrze temu... albo nie — mówmy o niem! Wszak tem jutrem byłaś pani dla mnie tak długo... długo...

WANDA.

Ja!...

WŁADYSŁAW.

A któż, jak nie pani?... I nadzieją jutra, i treścią dnia dzisiejszego — treścią życia. Komuż, jak nie, tobie zawdzięczam, że żyję? [Wszak prócz twoich listów jedynymi towarzyszami mymi przez te lata byli Tunguzi i rosyjscy osadnicy z najbliższych kolonii! A w kraju — któż mi został?] Jedynem ogniwem łączącem mnie z ojczyzną i życiem — ty byłaś!

WANDA.

Naprawdę? I myślałeś pan o mnie? Bo mi się zdawało, żeś pan we mnie widział Maryę i do niej tylko zwracał się w swych listach.

WŁADYSAŁW.

Z początku miałem to złudzenie. Ale listy pani były tak odmienne od listów Maryi, tak odrębna przeglądała z nich dusza, że złudzenie musiało się rozwiać.

WANDA.

A ja tak starałam się naśladować listy Maryni, chwytać ich nastrój i zwroty, byle złudzenie to zachować.

WŁADYSŁAW.

Nie udawało się pani — i dobrze, że się nie udało. Temu zawdzięczam, że panią poznałem. Indywidualność pani była zbyt silną, żeby ją można było nagiąć i utrzymać w cieniu. Z każdym listem zarysowywała się wyraźniej. A wówczas...

WANDA.

Wówczas?

WŁADYSŁAW.

Zajęła mnie i przywiązała do siebie. Zrozumiałem, że zamiast tej duszy, która odeszła odemnie, Bóg mi zesłał inną, bardzo kochaną i bliską, choć tak oddaloną... I już ją zawsze czułem przy sobie.

WANDA

(*cicho*).

Byłam przy tobie.

WŁADYSŁAW.

To mi dawało siłę żyć. Czy sądzisz pani, żebym inaczej przetrwał te

noce bez słońca naokoło mnie, i te drugie, straszniejsze, w głębi własnej duszy?... Ale czytałem listy twoje — i do ciemnej chaty wygnańczej wchodziło słońce, wchodziła wiosna!

WANDA.

Marzyłam o tem, ale nie śmiałam przypuszczać...

WŁADYSŁAW.

Dzięki tobie wracam tutaj... (*ciszej*). Tylko wracam innym, innym...

WANDA.

Nie!... Wracasz pan takim, jakiego widywałam w snach moich!

WŁADYSŁAW

(*z uśmiechem*).

Jakto? takim siwym, złamanym niedołęgą?

WANDA.

Nie — nie takim. Takim, jakim pan jesteś! Z czołem pooranem wichrami, z morzem mąk przecierpianych w oku!

WŁADYSŁAW.

Poetka z pani! Marzenia swe bierzesz za rzeczywistość!

WANDA.

Nie — tylko rzeczywistość przeczuwam sercem. Cóż w tem dziwnego zresztą?... Jeśliś pan tam zdala myślał o mnie, czy mogłeś przypuścić, że ja tutaj nie myślałam o panu?

WŁADYSŁAW

(*w zamyśleniu*).

Wiem — czułem to.

WANDA

(*z rosnącem uniesieniem*).

Od kiedy pamiętam, nie było takiego dnia, nie było godziny... Myślałam w noc bezsenną, gdy ucichły powszednie zajęcia i gwary, myślałam w dzień, wśród marnych ludzi i trosk poziomych. Myślałam w szczęściu, którego nie mogłam z panem podzielić, myślałam w cierpieniu, które mnie uczyło głębiej sięgać w pańską duszę.

WŁADYSŁAW.

Wando!

WANDA (*jw.*)

Przez te wszystkie lata, odkąd zaczęła dojrzewać myśl moja i rozwijać się serce, byłeś gwiazdą i dźwignią i całą treścią mego życia. Jak kwiat do słońca, zwracała się ku tobie moja dusza! Wkoło mnie mówiono o pieniądzach i maszynach, i wszystko było takie zimne, i płaskie, i małe: tyś jeden świecił mi zdala w aureoli bohaterstwa i ofiary, ciebie jednego widziałam, jak trawiony ogniem tęsknot i bolów ginąłeś powolnem konaniem duchów szlachetnych i przerastających tę ziemię.

WŁADYSŁAW.

Wando, dziecię moje, uspokój się! Mówisz w gorączce!

WANDA (*j. w.*).

Urosłeś ponad wszystkich i wszystko, do bohaterów dni dawnych podobny! I zazdrościłam wiatrom płynącym ku północy i odlatującym z wiatrami ptakom... I chciałam być jaskółką, aby cię okrążać cichym, sennym lotem, i chciałam być muszką drobną, siadającą ci nad czołem, i trawką nadbrzeżną, którą rozgniatała twoja stopa!

WŁADYSŁAW.

Ależ to szaleństwo!

WANDA.

(*dotykając ręką czoła jakby w zapomnieniu*).

Nie wiem, nie wiem... Tyle lat dusiło to mnie, rozrywało pierś... Nie rozumiałam siebie! A teraz...

WŁADYSŁAW.

A teraz...

SCENA VII.

CIŻ. — OTTYLIA.

WANDA

(*podbiega do niej i rzuca się jej na szyję, z namiętnym wybuchem*).

Teraz powiedz mu, ach powiedz, ty co znasz moją duszę, że on jest moim światem, mojem życiem, mojem wszystkiem! On jeden! (*wybiega, zakrywając twarz rękami*).

SCENA VIII.

WŁADYSŁAW — OTTYLIA
(*chwila milczenia*).

WŁADYSŁAW.

Na miłość Boga — co to znaczy?...

OTTYLIA.

To znaczy, że przyszło do pana szczęście i mówi: „Weź mnie!"

WŁADYSŁAW.

Ależ nie rozumiem...

OTTYLIA.

I ja nie rozumiałam długo. I dlatego ufam, że Bóg mnie nie będzie karać. Nie moja wina. Biedny, biedny Adaś!

WŁADYSŁAW.

Adaś? Kto to taki?...

OTTYLIA.

Wandzia o nim nic nie pisała?

WŁADYSŁAW.

Nigdy. Pierwszy raz słyszę.

OTTYLIA.

A przecie od roku jest jej narzeczonym.

WŁADYSŁAW.

Narzeczonym?

OTTYLIA.

Tak jest — i rozumiem, dlaczego nie pisała.

WŁADYSŁAW.

Dlaczego?

OTTYLIA.

Bo kochała — pana!

WŁADYSŁAW.

Mnie? Nie znając?...

OTTYLIA.

Znała pana z listów, a zwłaszcza — z wyobraźni...

WŁADYSŁAW.

Ależ to chyba choroba wyobraźni...

OTTYLIA.

Choroba czy nie, uleczyć z niej Wandzię — trudno. Znam ją przecie: charakter ma ze stali. A zresztą — jeśli w tem jej szczęście...

WŁADYSŁAW.

Szczęście?... Jakież szczęście dać jej może taka ruina?

OTTYLIA.

Rosną i na ruinach kwiaty... A zresztą niesłusznie pan siebie ocenia: jesteś tylko rośliną, przesadzoną na grunt obcy i pozbawioną długo światła i ciepła.

WŁADYSŁAW.

I zwiędła.

OTTYLIA.

Może tylko potrzebującą trochę słońca, żeby wrócić do życia. A Wańdzia potrafi być tem słońcem dla pana!...

WŁADYSŁAW

(*z mimowolnym wybuchem*).

O, wiem, że byłaby niem dla mnie!

OTTYLIA.

Więc czegoż się pan wahasz?

WŁADYSŁAW.

Ja? Czy się waham? (*chwila milczenia*). I pani sądzisz, że jej tego nie można wybić z głowy?

OTTYLIA.

Ani z głowy, ani z serca. Nie bój się pan!... Chyba...

WŁADYSŁAW.

Chyba?...

OTTYLIA.

Chybaby ktoś strącił jej bożyszcze z piedestalu. Ale pan jeden mógłbyś to uczynić, a pan tego nie zrobi, panie Władysławie! Pan nie zawiedzie jej zaufania! I będzie pan dobrym dla niej, prawda?... (*podaje mu rękę i ociera łzy, potem odchodzi*).

SCENA IX.

WŁADYSŁAW
(*długa chwila milczenia*).

Chybaby ktoś strącił jej bożyszcze z piedestału... Rozumiem... Tak... tylko ja jeden... (*chwila milczenia*). Czemu się buntujesz, stare, głupie serce?... Kwiatów ci się zachciało, wiosny, słońca? Milcz i cierp — to twoja dola (*stoi bez ruchu z zaciśniętemi rękami, chwila milczenia*).

SCENA X.

WŁADYSŁAW — ADAM.

ADAM
(*zbliża się szybko do Władysława*).

Pan Zgleński?

WŁADYSŁAW.

Tak. Mówię zapewne z narzeczonym panny Wandy?

ADAM.

Z jej byłym narzeczonym.

WŁADYSŁAW.

Byłym?!

ADAM.

W tej chwili zwróciłem jej pierścionek.

WŁADYSŁAW.

Pan — jej?

ADAM.

Uprzedziłem w tem jej życzenie — wiem. Ale wolałem, aby to wyszło odemnie.

WŁADYSŁAW.

Rozumiem pana. Chciałeś zdjąć ciężar z jej serca i zapobiedz wyrzutom sumienia.

ADAM.

Kocham ją i chciałbym, żeby była szczęśliwą, a sam szczęścia jej dać nie potrafię.

WŁADYSŁAW.

Czy pan sądzisz, że ja to potrafię lepiej?...

ADAM.

Ona kocha — pana!

WŁADYSŁAW.

I żalu pan nie masz ani do niej ani do mnie?

ADAM.

Żalu? Za co? Że skowronek wolał wzbić się w górę, zamiast latać przy samej ziemi, jak szary wróbel? Czemże ja jestem, ja prosty wieśniak, zagrzebany w mojej pszenicy i burakach, żeby rościć sobie prawo do jej serca? Pan co innego. Pan i ona stoicie na równi. Bóg was stworzył dla siebie!

WŁADYSŁAW
(*w zamyśleniu, jakby do siebie*).

A... gdyby tak było...

ADAM

(*z mocą*).

Tak jest, tak być musi, skoro ona pana kocha!...

WŁADYSŁAW.

A pan?

ADAM.

Ja, — cóż po mnie? Będę dalej siał pszenicę i sadził buraki, oczyszczał ziemię i grosz zbierał. Myślałem dotąd, że to dla niej — teraz będę to robił dla was, panie Zgleński.

WŁADYSŁAW.

I takie serce ona miałaby odrzucić?!

ADAM.

Ufam, że znajdzie lepsze w zamian! Tylko niech je znajdzie i niech w niem znajdzie szczęście! Pamiętaj o tem, panie Zgleński! (*wychodzi*).

SCENA XI.

WŁADYSŁAW (*sam*)
(*patrząc za nim, powtarza półgłosem*).

I takie serce ona miałaby odrzucić? (*długie milczenie. Na twarzy Wła-*

dysława widać silną wewnętrzną walkę. Patrzy w ziemię z zaciśniętemi ustami i rękoma. Wreszcie wstrząsa się z wybuchem). Nie!

SCENA XII.

WŁADYSŁAW — OTTYLIA.

OTTYLIA.

Skończone wszystko. Jedna chwila wystarczyła panu do zwycięstwa, panie Zgleński.

WŁADYSŁAW.

Do zwycięstwa? Do jakiego zwycięstwa?

OTTYLIA.

O, wiem, żeś pan o nie się nie starał: przyszło samo — ale przyszło jak piorun! Adaś zwrócił Wańdzi pierścionek. Marszałek się zgadza.

WŁADYSŁAW.

Zgadza — na co?

OTTYLIA.

Jakto — na co? Nie pamiętasz już pan, co ci Wańdzia mówiła przed chwilą?

WŁADYSŁAW

(*z naciskiem*).

Nic nie słyszałem!

OTTYLIA
(*patrzy na niego ze zdumieniem*).
Nie słyszałeś?...

WŁADYSŁAW (*j. w.*).
Ani słowa!

OTTYLIA
(*po chwili milczenia*).
Szczęście przyszło, a pan przed nim drzwi zamykasz?

WŁADYSŁAW (*j. w.*).
Tak trzeba.

OTTYLIA.
A jeśli to jej szczęście?

WŁADYSŁAW.
Nie — to tylko jej marzenie!... A marzenia — mogą się rozwiać.

OTTYLIA.
Rozwiać marzenia — kto to potrafi?!

WŁADYSŁAW.
Ja!

OTTYLIA.
Pan byś to zrobił, pan?...

WŁADYSŁAW.
Postanowiłem — i zrobię!...

OTTYLIA.
Jak?

WŁADYSŁAW
(*Rzucając okiem na stolik z tacą*).

Zdaje mi się, że już wiem — jak.

SCENA XIII.

CIŻ — WANDA I ADAM.
(*schodzą z werandy rozmawiając; zszedłszy, Wanda bierze obydwoma rękami dłoń Adama i ściska ją.*)

WANDA.

Jak ja ci odpłacę, mój Adasiu, jak przeproszę za wszystkie moje dzieciństwa i winy!

ADAM.

Dajże pokój.

WANDA.

Nie znałam cię dotąd! Ta rozmowa twoja z ojcem..., (*zwraca się do Władysława*). Bądźcie przyjaciółmi, braćmi — prawda?

WŁADYSŁAW
(*z obcym akcentem, zmienionym głosem*).

Dlaczego nie?... Owszem, — ja rad.

WANDA
(*patrzy na niego zdziwiona*).

WŁADYSŁAW.

Ja dobrych przyjaciół lubię... Czemu nie lubić? I pogadać, i pobawić się, i wypić razem można. Ja do tego wszystkiego ochotnik!...

WANDA.

Panie Władysławie!

WŁADYSŁAW.

A co?... Może ja co złego powiedział? To przepraszam... U mnie tak, poprostu, serce jak na dłoni! Wy tu jeszcze, wiem, bawicie się w ceremonie, romansy, grymasy, — my od tego odwykli. A nauczyli się (*śmieje się*) wiecie czego?... (*podchodzi do Wandzi, która, po krótkiem wahaniu cofa się i staje przy zasłaniającym ją Adamie*). Ot, tego, że jak ma być przyjaźń, to trzeba ją zapić! (*Zbliża się do stolika i nalewa wódki do szklanki*). No, ja już sobie golnął uczciwie na przywitanie. Wy wyszli i zostawili mnie samego i ot — zasmucił się ja, zamgliło koło serca. Toż i rozglądam się, patrzę: aż tu karafinka na stole, dla miłych gości, w sam raz na pociechę! No, toż i pocieszym się jeszcze! (*pije i nalewa drugi raz*). A teraz w ręce wasze! Co, ha?...

ADAM.

Dziękuję. Piję rzadko wódkę, a nigdy szklankami.

WŁADYSŁAW.

Ot i przesąd! Ze szklanki najlepiej... Co kieliszek?... Naparstek dla wróbla!... Po co sobie żałować? (*pije trochę, zasłaniając szklankę ręką, i resztę płynu wyrzuca za siebie ukradkiem, potem stawia szklankę z brzękiem na stole*). Uf, aż zamroczyło. Ot my w Sybirze tem się i pocieszali. Inni zmarnieli z nędzy i żalu, a my uratowali się!

WANDA.

Pisał mi pan, żeście ratowali się inaczej.

WŁADYSŁAW.

Aj, te listy! No, to już niema co: trzeba prawdę powiedzieć! Widzi pani: we mnie siedziało dwóch ludzi. Stary człowiek wstydził się, udawał, chował się za parawan — nowy pomagał sobie jak mógł. I teraz tak. Człowiek czuli się i żali po staremu, poezye gada i na szczudłach łazi, póki naczczo, a jak się napije, dusza mu się otwiera — i wtedy jest szczery.

WANDA.

Więc w listach swoich nie byłeś pan szczery?

WŁADYSŁAW.

Stary człowiek, łaskawa pani i stara komedya!

WANDA.

Nie, to być nie może, — nie wierzę! Panie Zgleński, to jakiś okrutny żart z pańskiej strony, czy jakaś bardzo niezasłużona próba!

WŁADYSŁAW.

Próba... żart?... Po co? Dlaczego? Ot, poprostu starka u was dobra, a ja ziąbł dziś rano. Jak to mówi przysłowie? In vino veritas. A w wódce — nie?

WANDA (*do Ottylii*).

Moje marzenia, moje sny! Boże, Boże!

ADAM (*do Ottylii półgłosem*).

To jednak nie do pojęcia! Tak zmienić się w jednej chwili!... Gdybym mógł przypuszczać...

OTTYLIA (*do Adama cicho*).

Nic pan nie przypuszczaj! Nie sądź i czekaj...

ADAM (*j. w.*).

Czego?

OTTYLIA (*j. w.*).

Aż go poznasz.

[ADAM.

Zdawało mi się, że go znam ze słyszenia. I teraz, przed kwadransem... A tymczasem widzę, że go nie znałem do tej chwili.

OTTYLIA.

W tej chwili dopiero nie znasz go wcale].

WŁADYSŁAW.

A ja tu do was na krótko tylko zaglądnął.

ADAM.

Jakto?

WŁADYSŁAW.

Ja tam wracam. Przywykłem. Tu mnie nic nie ciągnie, a tam obiecali posadę na Uralu — cudo nie posadę. Pięć tysięcy rocznie, progony i procenty. A ja już dosyć nędzy się najadł przez te wszystkie lata. Teraz chcę żyć!

ADAM.

A cóż się stanie z Horyńcem?

WŁADYSŁAW.

Co się ma stać?... Jak był w dzierżawie, tak będzie. A zdarzy się dobry kupiec...

ADAM.

Sprzedałbyś pan?

WŁADYSŁAW.

A pan myśli, że nie?

WANDA.

Obcemu — tę ziemię, która raz z rąk naszych wypuszczona nigdy już, nigdy do nas nie wróci?!...

WŁADYSŁAW.

Żal, ale cóż robić?... Muru głową nie przebijesz!... A przytem to także mrzonki. Takie same zaprowadziły nas kiedyś tam, — daleko.

WANDA.

Więc i to były mrzonki?

WŁADYSŁAW.

I to, i tamto. Co pomoże, że ja mój kapitał więżę w kawałku ziemi, nie mając ani dochodu ani zabezpieczenia, jeśli ten kraj i tak czy prędzej czy później przejdzie cały w obce ręce?... Ot i my zerwali się w kilka tysięcy waryatów, przeciw takiej sile, co potrzebowała palcem kiwnąć, aby nas czapkami zarzucić. — Pomogło co?... [Miałem wtedy trzydzieści lat, zdrowie, powodzenie, majątek. A teraz?... Na Horyńcu długi i cud, że nie skonfiskowali, u mnie ideały wywietrzały z głowy, a kiedy życia chciałoby się użyć — padam do nóg! Ani zdrowia, ani pieniędzy, gdyby nie wódka-drużka powiesiłby się człowiek...] Ot, waryatami byli my wszyscy, teraz rozum przyszedł, ale zapóźno!

WANDA.

Waryatami?... (*nerwowym ruchem odwraca się do Adama i podaje mu rękę*). Dziękuję ci, żeś ty zawsze był i pozostałeś takim waryatem — i wierz mi, potrafię cię za to cenić teraz!...

WŁADYSŁAW

(*kiwając dobrodusznie głową*).

A słusznie, słusznie! Co to komu szkodzi?... Wy oboje młodzi, wam i zdrowo pobawić się w idealisty... nie to, co nam starym.

WANDA.

Pana zaś... (*głos jej załamuje się w łkaniu, sklania głowę ku Władysła-*

wowi i chce odchodzić — Władysław idzie za nią oczyma, twarz mu się zmienia zupełnie i przybiera wyraz bezgranicznego smutku).

ADAM (*do Ottylii*).

Ależ ten człowiek gra komedyę!

OTTYLIA (*tak samo*).

A pan dopiero teraz to spostrzegasz?

WŁADYSŁAW.

Więc ja już państwa nie zobaczę przed wyjazdem, bo mi pilno wracać...

ADAM.

Jedzie pan?

WŁADYSŁAW.

Za parę dni. (*zwyczajnym głosem ciszej*). I na zawsze!

WANDA.

(*która przez cały ten czas stała w głębi za szklannemi drzwiami z twarzą ukrytą w dłoniach, odwraca się i schodzi z werandy powoli, z widocznem wahaniem*). Panie Zgleński!

WŁADYSŁAW.

Co... pani?...

WANDA.

Powiedz, na pamięć Maryi, którą kochałeś, na pamięć matki twojej cię

zaklinam, powiedz... Co było prawdą u ciebie: to, coś pisał, coś mówił mi dziś jeszcze, czy to, co, teraz?!...

WŁADYSŁAW

(*stoi w milczeniu z oczyma utkwionemi w ziemi i zaciśniętemi ustami*).

WANDA.

Przypomnij sobie to wszystko, co ci było święte i drogie — lata twoje młode, twój wyjazd do obozu, twoją pierwszą miłość i twoją wygnańczą tęsknotę... przyjaźń naszą długą, promienną, — przypomnij, że po nad nami jest Bóg, który w sercach czyta, i będzie nas sądził, i powiedz, Władysławie!.. powiedz, żeś grał straszną komedyę i stań się znów sobą! (*długa chwila milczenia*).

WŁADYSŁAW

(*wybuchając nagłym śmiechem*).

Ha, ha, ha!... To dopiero komedya! Romansy, ideały!... Ot, na odjezdnem i na pożegnanie — zdrowie pani! (*odwraca się i nalewa z karafki do szklanki: szkło wypada mu z ręki i tłucze się*).

Ha, ha... Dobra wróżba... Będzie tu wesele!

WANDA.

A więc drogi nasze się rozchodzą... dziękuję panu za wszystko dobre, które... I niech nad panem czuwa Bóg! (*wychodzi prędko*).

WŁADYSŁAW

(*wyciąga za nią ręce z wyrazem strasznego cierpienia, potem odwraca się i kryje twarz w dłonie, Oltylia i Adam stają przy nim po obu stronach*).

SCENA XIV.

WŁADYSŁAW, OTTYLIA, ADAM.

WŁADYSŁAW

(*odejmując ręce od twarzy*).

Ach, przepraszam! Zapomniałem...

OTTYLIA.

Niech panu Bóg płaci!

ADAM.

Pan jesteś więcej, niż człowiekiem!...

WŁADYSŁAW.

Ach, jestem nim aż nadto w tej chwili...

ADAM.

Ona cię pozna, jakim jesteś... kiedyś!... Powiem jej wszystko!

WŁADYSŁAW.

Nie! nie mów nic! Nie trzeba mącić w duszy jej spokoju, gdy wróci, a wróci niedługo. Niegodnego wyrzuci z serca i pamięci — i tak będzie lepiej...

ADAM.

Ale ja, jak ja zostanę z takiem strasznem brzemieniem ofiary twej na barkach?! Jak mi żyć z tem, jak myśleć o tobie?!

WŁADYSŁAW.

Musisz!... Nie dla siebie: dla niej! Pamiętasz, co mi mówiłeś: „Niech ona tylko będzie szczęśliwa... o mnie mniejsza!“

ADAM.

Oczy nasze, dusze nasze iść będą za tobą wszędzie, wszędzie...

WŁADYSŁAW.

Po co pytać liścia strąconego z drzewa i miotanego burzą, dokąd niesie go wicher? Pozwólcie mi ukryć się w cieniach nocy, w którą idę, i zniknąć bez śladu. W oceanie ludzkiego cierpienia jedna kropla więcej czy mniej — co na tem zależy?... Strzeżcie od wroga ziemi, którą zostawiam, — i bądźcie szczęśliwi!... Ja was pamiętać będę, dożywając samotnie resztek życia.

ADAM.

Ach, nie mów tak, przyjacielu! Da Bóg — i na twojej drodze zaświeci słońce!

WŁADYSŁAW.

Niech wam tylko świeci jasno, długo!... Jam już w godzinie zachodu.

ZASŁONA SPADA.

